

Edmond Hamilton

Requiem

(Requiem)

Amazing Stories, April 1962.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz
© Public Domain

This text is translation of the novella "Requiem" by Edmond Hamilton, first publication in Amazing Stories, April 1962. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed. It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Kellon pomyślał sobie kwaśno, że chyba nie dowodzi już statkiem kosmicznym, ale raczej prowadzi cyrk objazdowy. Miał na pokładzie mnóstwo ludzi z teleaudio, z tonami sprzętu. Napuszeni komentatorzy, znający odpowiedź na wszystkie pytania, piękne kobiety, będące ekspertkami od kobiecego punktu widzenia, nadęci biurokraci goniący za rozgłosem i gwiazdy rozrywki, które znalazły się tutaj, dokładnie z tego samego powodu.

Miał dobry statek i dobrą załogę, jedną z najlepszych w Służbie Badawczej. To znaczy kiedyś miał. Teraz, już tacy nie byli. Oderwano ich od należących do nich prac, związanych z poszerzaniem wiedzy astrograficznej, na coraz bardziej odległe regiony galaktyki, wysłano z gromadą tych nadzianych ludzi, na zupełnie niepotrzebną misję.

Powiedział sobie gorzko w myślach: „Do diabła ze wszystkimi sentymentalistami.”

Natomiast na głos zapytał:

– Czy nasza pozycja zgadza się z wyliczoną przez pana orbitą, panie Riney?

Riney, drugi oficer, młody i poważny człowiek, krzątający się właśnie przy instrumentach w pomieszczeniu astrogacyjnym, wyszedł z niego i odparł:

– Tak. Dokładnie co do milimetra. Czy mamy od razu wejść do środka układu i wylądować?

Kellon przez chwilę nic nie odpowiadał, stojąc na przedzie mostka, mężczyzna w średnim wieku, krępy, o kwadratowych ramionach. Na jego opalonej, prostej twarzy, nie było widać nawet śladu niechęci, jaką czuł w duszy. Mierzyła go sama myśl o wydaniu tego rozkazu, ale musiał to zrobić.

– No, dobrze, niech pan zabierze statek do środka.

Kiedy wchodzili do wnętrza układu, wyglądał w ponurym nastroju przez osłonięte filtrem okno. Na tych obrzeżach spiralnego ramienia galaktyki, gwiazdy były rozsiane stosunkowo rzadko, i tylko tu i ówdzie, na tle ciemności, widać było ich postrzępione skupiska. Dokładnie z przodu świeciło małe jak diament, gęste słońce tego układu. Znajdowało się ono w stadium białego karła, i w takiej postaci pozostawało od dwóch tysięcy lat. Emitowało w tym okresie tak mało ciepła, że krążące wokół niego planety były przez cały ten czas zamrożone i skute lodem. Nadal zresztą tak było, poza najbardziej wewnętrzną z nich.

Kellon wpatrywał się w planetę, małą, płową kuleczkę w przestrzeni. Lód, który pokrywał ją od czasu, kiedy główny składnik układu dokonał kolapsu do rozmiarów białego karła, teraz w większości się stopił. Kilka miesięcy temu, bardzo blisko tego pozbawionego życia układu, przeszło ciemne wędrowne ciało niebieskie. Jego przejście zakłóciło orbity planetarne i wewnętrzne planety zaczęły powoli spadać po spirali w kierunku swojego słońca, tak więc lód zaczął zniknąć...

Viresson, jeden z młodszych oficerów, wszedł na mostek ze zniekaną miną. Zameldował Kellonowi:

– Chcą pana widzieć tam na dole, sir. A już szczególnie pan Borrodale. Mówi, że to jest dosyć pilne.

Kellon pomyślał ze zmęczeniem: „No cóż, równie dobrze mogę zejść na dół i stawić czoła tej hordzie. Jesteśmy w miejscu, gdzie naprawdę muszą zacząć zajmować się swoją robotą.”

Skinął głową w stronę Viressona i zszedł na dół, do głównej kabiny. Jej widok wzbudził w nim odruchowy sprzeciw. Zamiast jego własnych ludzi, odpoczywających i leżących z rękoma pod brodą, w kabinie kłębił się mały, hałaśliwy tłumek zbyt wyzywająco ubranych i zbyt głośnych mężczyzn oraz kobiet, a wszyscy oni zdawali się mówić jednocześnie lub śmiać się ostrym, nerwowym śmiechem.

– Kapitanie Kellon, chciałbym pana zapytać...

– Panie kapitanie, czy mógłby pan...

Cierpliwie potakiwał, uśmiechał się, przebijając się przez nich do Borrodale'a. Otrzymał specjalne instrukcje, aby współpracować z Borrodalem, najsłynniejszym komentatorem teleaudio, w całej Federacji.

Borrodale był lekko pulchnym mężczyzną, z okrągłą, różową twarzą i zupełnie do niej nie pasującymi dużymi, poważnymi oczyma. Kiedy komentator odezwał się do niego, natychmiast rozpoznał ten głęboki, niewiarygodnie bogaty i sugestywny głos.

– Panie kapitanie, moja pierwsza transmisja, jest zaplanowana za trzydzieści minut od tej chwili. Będzie mi potrzebny dobry widok na zewnątrz, kiedy będziemy wchodzili do środka układu. Gdyby moi ludzie mogli zabrać przenośny nadajnik na górę, na mostek...

Kapitan skinął zezwalająco głową.

– Oczywiście. Pan Viresson już tam jest i będzie im służył wszelką niezbędną pomocą.

– Bardzo dziękuję, panie kapitanie. Czy chciałby pan oglądać audycję?

– Zrobiłbym to z największą chęcią, ale...

Przerwała mu Lorri Lee, której uderzająco piękna twarz i figura, oraz wyszukany akcent, czyniły z niej bożyszcze wszystkich kobiet, reporterek teleaudio.

– Moja audycja ma się rozpocząć zaraz po wylądowaniu -- pamięta pan? Chciałabym zrobić to sama, otoczona jako tłum, tylko pustką tej planety. Czy mógłby pan powstrzymać innych, przed popsuciem mi tego efektu? Proszę!

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – wymamrotał Kellon. I kiedy reszta tej hordy zaczęła skupiać się wokół niego, pośpiesznie dodał: – Porozmawiamy o tym jeszcze później. Transmisja pana Borrodale'a...

Przebił się przez nich, podążając za Borrodalem, w stronę kabiny, która została przygotowana jako pomieszczenie nadajnika teleaudio. Kiedyś miała, pomyślał kwaśno Kellon, służyć bardziej szlachetnym celom, do przechowywania próbek z próbkami gleby i wody, oraz innych substancji

z odległych planet. Ale tak było wtedy, kiedy zajmowali się uczciwą robotą Służby Badawczej, a nie niańczeniem gromady paplających głupców, którzy wyruszyli na jakąś sentymentalną pielgrzymkę.

Przygotowania do transmisji nie obchodziły Kellona. Nie chciał też jej oglądać, ale było to już zdecydowanie lepsze, niż ten tłum w głównej kabinie. Obserwował wszystko, aż do chwili, kiedy Borrodale dał sygnał. W tym momencie ekran monitora obudził się do życia. Pokazywał brunatno ubarwioną planetę, obracającą się w przestrzeni, w widoczny sposób zwiększającą swoje rozmiary, w miarę jak do niej podchodzili. Na jej powierzchni, obecnie można było już zidentyfikować, rozrastające się morza. Mijały kolejne chwile, a Borrodale nic nie mówił, tylko pozwalał aby robił to za niego obraz. Potem na tle pokazywanej planety przemówił z dramatyczną prostotą, jego głęboki głos.

– Patrzycie państwo na Ziemię – powiedział.

Znowu nastąpiła cisza, a obracająca się brązowa kula, robiła się coraz większa, widać było wiszące nad nią postrzępione chmury. Wtedy Borrodale przemówił ponownie:

– Dla tych z państwa, którzy oglądacie nas z wielu planet całej galaktyki -- oto jest ojczysta kraina naszej rasy. Wypowiedzcie sobie samym na głos tę nazwę. Ziemia.

Kellon czuł pogłębiający się niesmak. To wszystko było zupełną prawdą, ale pomimo tego, brzmiało strasznie fałszywie. Czym w obecnych czasach była Ziemia, dla niego, dla Borrodale'a, czy też dla miliardów jego słuchaczy? Ale była to jakaś historia do wykorzystania, sentymentalna okazja, tak więc chcieli rozdać ją do rozmiarów czegoś naprawdę wielkiego.

– Jakies trzydzieści pięć stuleci temu – mówił dalej Borrodale, – nasi przodkowie żyli wyłącznie na tej jednej planecie. Tak było, kiedy po raz pierwszy wyruszyli w kosmos. Najpierw do tych innych planet, jakie widzimy tutaj dookoła -- ale bardzo szybko, także do innych gwiazd. I w taki właśnie sposób narodziła się nasza Federacja, nasza społeczność ludzkich cywilizacji, na wielu gwiazdach, na wielu planetach.

Teraz, na ekranie monitora, obraz ciemnobrązowego globu ziemskiego, został zastąpiony przez twarz Borrodale'a, na pełnym zbliżeniu. Zrobił dramatyczną przerwę.

– Potem, ponad dwa tysiące lat temu, odkryto, że słońce Ziemi, miało właśnie zapaść się i przejść do postaci białego karła. Tak więc ludzie, którzy ciągle jeszcze pozostali na Ziemi, opuścili ją na zawsze. Zaś kiedy rozpoczęła się przemiana Słońca, ona sama oraz inne planety, zostały otoczone płaszczem wiecznego lodu. A teraz, w ciągu kilku kolejnych miesięcy, ma nastąpić koniec starej planety, będącej miejscem naszego pochodzenia. Powoli spada ona, po spirali, w stronę Słońca, i wkrótce zanurzy się w nim, tak jak już to się stało w przypadku Merkurego i Wenus. A kiedy to nastąpi, macierzysta planeta człowieka, zostanie już na zawsze utracona.

Ponownie przerwa, tak by uzyskać właściwą długość trwania audycji, a następnie Borrodale kontynuował, głosem biegle zmienionym na niższą tonację.

– My, na tym statku -- my zwykli reporterzy, służący olbrzymiej widowni teleaudio, na wszystkich zamieszkałych planetach -- przybyliśmy tutaj, aby w tych kolejnych tygodniach przekazać państwu ostatnie spojrzenia na ojczystą planetę naszych przodków. Myślimy... mamy nadzieję... że znajdą państwo coś interesującego w przypomnieniu tej odległej przeszłości, która już nieomal stała się legendą.

Kellon pomyślał sobie: „Ten bękart nie bardziej interesuje się tą starą planetą, niż ja, ale bez wątpienia gada naprawdę gładko.”

Zaraz jak tylko skończyła się audycja, Kellona natychmiast otoczył ponownie, rozkrzyczany tłum w głównej kabinie. Uniósł ręce do góry, w proteście.

– Proszę państwa, nie teraz -- najpierw musimy zająć się samym lądowaniem. Doktorze Darnow, czy mógłby pan pójść ze mną?

Darnow był z Biura Historycznego. Był tytularnym kierownikiem całej ekspedycji, chociaż tak naprawdę nikt nie zwracał na niego zbyt wiele uwagi. Był niepozornym starszym mężczyzną, paplającym coś z podnieceniem, kiedy szedł razem z Kellonem na mostek.

On przynajmniej był szczery w swoim zainteresowaniu, pomyślał sobie Kellon. Jeżeli już o tym mówimy, to na pokładzie było zaledwie kilkunastu naukowców. Towarzyszyła im kilkakrotnie większa liczba grubych ryb i tłustych kotów z publikatorów, oraz profesjonalnych entuzjastów i sentymentalistów. Niech diabli wezmą tę robotę, którą dała mu Służba badawcza!

Kiedy się znaleźli na mostku, wyjrzał przez okno na planetę o ciemno-brązowej barwie i jej satelitę. Potem spytał Darnowa:

– Czy wspominał mi pan o jakimś szczególnym miejscu, w którym chciałby pan abyśmy wylądowali?

Historiograf pośpiesznie szarpnął kilka razy głową, w górę i na dół, a następnie zaczął rozwijać jakąś wielką, staromodną mapę.

– Czy widzi pan ten kontynent, tutaj? Wzdłuż jego wschodniego wybrzeża rozlokowanych było wiele największych miast, takich jak Nowy Jork.

Kellon przypominał sobie mgliście tę nazwę. Uczył się historii w szkole, wiele lat temu.

Palec Darnowa dźgnął w mapę.

– Gdyby mógł pan wylądować tutaj, dokładnie na tej wyspie...

Kellon przyjrzał się charakterystyce ukształtowania terenu, a potem pokręcił przecząco głową.

– Za nisko. W miarę upływu czasu wystąpią duże pływy, tak więc nie możemy podjąć takiego ryzyka. Ale jednak, ten wyżej położony teren, nieco bardziej w głębi lądu, powinien być całkiem niezły.

Darnow wyglądał na nieco rozczerowanego.

– No cóż, przypuszczam, że ma pan rację.

Kellon polecił Rineyowi, aby przygotował wzorzec podejścia do lądowania. Potem spytał Darnowa, sceptycznym tonem:

– Z pewnością nie oczekuje pan, że znajdzie pan zbyt wiele w tych dawnych miastach -- chyba nie po tym, jak spoczywały pod lodem, przez ostatnie dwa tysiące lat?

– Będą bardzo zniszczone – przyznał Darnow. – Ale powinna tam pozostać ogromna liczba reliktyw. Mogłbym tam prowadzić badania przez całe lata...

– Tylko że nie będziemy mieli do dyspozycji lat. Mamy zaledwie kilka miesięcy, zanim ta planeta znajdzie się za blisko Słońca – przypomniał mu Kellon. W myślach zaś dodał: „I dzięki Bogu.”

Statek rozpoczął wykonywanie podejścia do lądowania. Na zewnątrz kadłuba zaczęła jęczeć atmosfera, a potem otoczyły go gęste kotłujące się szare chmury, pędzące w stronę ogona. Statek przebił się poniżej warstwy chmur i poruszał się nad ponurym brązowym terenem, poznaczonym białymi plamkami w co głębszych dolinach. Daleko z przodu, widać było odbłyśki światła na szarym oceanie. Statek jednak zszedł w dół, w kierunku przemykającej pod nim brązowej równiny, gdzie wkrótce wylądował. Kiedy spoczął na ziemi, na pokładzie zaległa oczekiwana chwila kompletnej, uderzającej ciszy, która zawsze następowała po wyłączeniu wszystkich maszyn.

Kellon patrzył na Rineya, który po chwili odwrócił się od panelu testowego, z lekkim zaskoczeniem na twarzy.

– Ciśnienie, tlen, wilgotność i inne wskaźniki -- wszystko idealnie na optimum. – Po chwili dodał jeszcze. – Ależ, oczywiście, przecież to właśnie to miejsce wyznaczyło optimum.

Kellon skinął potwierdzająco głową. Powiedział:

– Jako pierwsi rozejrzemy się na zewnątrz ja i doktor Darnow. Viresson, ma pan trzymać naszych pasażerów w środku.

Kiedy wraz z Darnowem przechodzili do dolnej śluzy powietrznej, usłyszał dochodzące z głównej kabiny brzęczenie głośniejszej wrzawy, i ocenił, że Viresson ma pewnie pełne ręce roboty. Znajdujący się tam ludzie, nie byli przyzwyczajeni do tego, aby ktoś mówił im nie, i mógł sobie wyobrazić ich święte oburzenie.

Kiedy zeszli ze śluzy powietrznej na ziemię, Kellona przeszyło chłodem zimne, wilgotne powietrze. Stali na błotnistym, żwirowym podłożu, które lekko zapadało im się pod butami, kiedy z trudem poruszali się po nim, odchodząc od statku. Zatrzymali się i zaczęli rozglądać się dookoła, lekko drżąc.

Pod nisko wiszącym, szarym, zachmurzonym niebem, rozciągał się smutny, pozbawiony słońca, brązowy krajobraz. Nic nie przerywało monotonnego koloru gołej ziemi, oprócz odłamków lodu, ciągle pozostającego w zagłębieniach terenu. Od czasu do czasu ciężkie powietrze poruszane było przez chaotyczne mocne podmuchy wiatru, a po chwili ponownie zamierało w spokoju. Nie było słychać żadnych dźwięków, poza trzaskami i pstryknięciami stygnącego i kurczącego się poszycia statku, dolatującymi z tyłu. Kellon pomyślał sobie, że żadna ilość

sentymalizmu, nie zmieni tego co widać w nic innego, niż jałową, posępą planetę.

Ale oczy Darnowa płonęły.

– Będziemy musieli wykorzystać każdą minutę, jaka nam tu pozostała – wymamrotał pod nosem. – Każdą minutę.

W ciągu dwóch godzin, ciężki sprzęt nadawczy, został przeniesiony ze statku na dwa traktory motorowe, które następnie skierowały się na wschód. Na jednym z traktorów jechała Lorri Lee, świecąc z daleka w swoim liliowym kostiumie z syntsyliku.

Kellon, martwiący się możliwością natknięcia się na ruchome piaski, wyruszył razem z nimi na tę pierwszą audycję, przeprowadzaną z klifów, spoglądających w dół, na ruiny Nowego Jorku. Kiedy już dotarli na miejsce, żałował, że to zrobił.

Lori Lee i jej blond głowa, jasna nawet w tym przyćmionym świetle, obracała się na wszystkie strony, we każdej ze swoich wyćwiczonych pozycji, kierowanych do kamer nadawczych, gestykulując w uroczym podekscytowaniu, w stronę rozciągających się w dole ruin.

– To jest takie nieprawdopodobne – wołała do tysięcy planet. – Być tutaj na Ziemi i znowu widzieć te wszystkie starodawne miejsca... to naprawdę działa na państwa!

Bez wątpienia działało to na Kellona. Powodowało, że zaczynał czuć słabość w żołądku. Odwrócił się do tyłu, i pojechał z powrotem na statek, czując w tej chwili, że gdyby Lorri Lee wpakowała się podczas drogi powrotnej, na ruchome piaski, nie byłaby to jakaś specjalnie duża strata.

A ten pierwszy dzień, to był dopiero początek. Wielki statek szybko stał się centrum nadawczym, wielorakich i nieustannych transmisji. Posiadał specjalne wyposażenie dla silnych przekazów kierunkowych do najbliższej stacji w sieci Federacji, tak więc jego nadajniki rzadko były bezczynne.

Kellon wkrótce stwierdził, że Darnow, który miał koordynować te wszystkie audycje, był kompletnie bezużyteczny. Mały historyk, od momentu wylądowania na tej planecie, która została wystawiona na ludzki widok po raz pierwszy, od tysiąca lat, znalazł się w siódmym niebie, i miazdząco większą część czasu spędzał na swoich własnych wyprawach polowych. Robota biurowa spadła więc na jego asystenta, sumiennego i zatroskanego młodego człowieka, próbującego pogodzić hałaśliwe żądania i przepychanki, strasznie kapryśnych gwiazd medialnych.

Kellon czuł narastającą nudę, tym całym statystowaniem, podczas gdy wszystkie te bzdury szły w eter. Ci ludzie zrobili sobie tutaj majówkę, ale jego nie obchodziły zbyt wiele ani oni sami, ani ich audycje. Roy Quayle, młody projektant ubrań użytkowych, przygotował na wpół humorystyczny, na wpół nostalgiczny przegląd zagadnień mody z dawnej Ziemi, z najładniejszymi dziewczynami, pozującymi w najbardziej zabawnych ubiorach, które skopiował. Barden, sławny producent teleplay, wyemitował kilka starożytnych filmów z dawnej Ziemi, dramatów, które przyprawiły

wszystkich o ostrą kolkę. Jay Maxson, wschodząca gwiazda polityki w Kongresie Federacji, dyskutował z Borrodalem systemy rządzenia w dawnych czasach, w sposób obliczony na to, aby przedstawić koncepcje swojej własnej Partii Pan-Galaktycznej, jako nie gorsze od nich. Muzycy Arktura, ta świetna grupa młodego stage-folka, przygotowała recytacje starych ziemskich dramatów i wierszy.

To, pomyślał sobie z niesmakiem Kellon, była tylko gra. Ludzie o wielkim znaczeniu, ludzie sławni, pochwycili okazję, jaką stwarzał im przypadkowy koniec, dawno zapomnianej planety, do tego by stanąć w świetle reflektorów, jak rozpieszczone przemądrzałe dzieciaki. W galaktyce było tyle prawdziwej pracy do zrobienia, pracy Służby, nigdy niekończącej się i nużącej, ale zawsze fascynującej roboty, nanoszenia na mapy dzikich układów i planet. I zamiast zająć się tą robotą, skazany był na spędzenie całych tygodni i miesięcy tutaj, z tymi sztucznymi bufonami.

Szanował naukowców i historyków. Wykonywali tylko niewiele transmisji i przed nikim nie udawali swojego zainteresowania. Jednym z nich był Haller, biolog, który jakiś tydzień po ich lądowaniu, z podnieceniem pokazał Kellonowi garść wilgotnej ziemi.

– **P**roszę na to popatrzeć! – dumnie oznajmił.
Kellon zaczął się przypatrywać.
– O co chodzi?
– Te nasiona – to zwykłe nasiona traw i chwastów. Niech pan im się przyjrzy.

Kellon popatrzył dokładniej i tym razem zauważył, że z każdego z małych nasionek wystawał wyglądający na świeży, włoskowaty pęd.

– One kiełkują? – spytał z niedowierzaniem.

Haller ze szczęściem skinął głową.

– Miałem na to nadzieję. Wie pan, zgodnie z zapisami, kiedy Słońce nagle zapadło się do rozmiarów białego karła, na północnej półkuli była właśnie niemal wiosna. W ciągu kilku godzin temperatura poleciała na łeb, na szyję i hydrosfera oraz atmosfera zaczęły zamarzać.

– Ale z pewnością to musiało zabić wszelkie życie roślinne?

– Nie – odparł Haller. – Większe rośliny, drzewa, zakorzenione krzewy, i tak dalej, tak. Ale nasiona mniejszych roślin rocznych, tylko zamarzły, w fazie zawieszenia ich procesów życiowych. Teraz ciepło, które roztopiło ziemię, spowodowało ich kiełkowanie.

– A więc, będziemy mieli trawę... małe rośliny?

– I to już naprawdę wkrótce, patrząc na charakterystykę przyrostu ciepła.

Rzeczywiście, przez cały czas, w miarę jak mijały te pierwsze tygodnie, robiło się odrobinę cieplej. Pewnego dnia chmury się uniosły, i pojawiło się jasne, nieco rozproszone, białe światło, docierające z małej kuleczki Słońca. Później nadszedł taki poranek, kiedy stwierdzili, że roztaczający się wokół nich teren pokrył się nieśmiałym odcieniem zieleni.

Trawa rosła coraz bujniej. Rosły zioła, powoje, wszystkie rośliny zdawały się śpieszyć z rozwojem, jak gdyby wiedziały, że ten ich ostatni okres, nie będzie trwał długo. Wkrótce nagie, brązowe błota wzgórz i dolin, pokryły się zielonym dywanem, a niemal w każdym miejscu strzelały z niego wyższe rośliny. W końcu zaczęły pojawiać się kwiaty. Jeszcze raz rozkwitły jaskry, dzwonki, mniszki lekarskie, fiołki.

Kellon zrobił sobie długi spacer, teraz kiedy w końcu nie musiał przedzierać się przez błocko. Paplający ludzie, kręcący się wszędzie wokół statku, nieustanne, ciągłe przyciąganie się i odpychanie zderzających się temperamentów, ostre, gorączkowe głosy, wszystko to straszliwie go dołowało. Poczuł się dużo lepiej, kiedy mógł od tego uciec i pobyć trochę w samotności.

Trawa i kwiaty powróciły, ale pod każdym innym względem, był to ciągle zupełnie pusty świat. A jednak, w takim włóczeniu się w górę i w dół długich, zielonych zboczy wzgórz, było coś niesamowicie uspokajającego. Słońce było teraz już bardzo jasne i radosne. Białe obłoki pokrywały kropeczkami niebo, zaś ciepły wiatr szeptał cicho w trawach. Usiadł na grzbiecie wzgórza i popatrzył daleko w kierunku zachodnim, gdzie nie było żywej duszy, ani nigdy więcej już nie miało być.

"Przeklęte ponuractwo", pomyślał sobie. "Ale przynajmniej to lepsze niż siedzenie z tymi paplami."

Usiadł sobie na dłużej, na świecącym z boku słończku, czując jak jego najeżone nerwy powoli się uspokajają. Wszędzie dokoła szumiała trawa, poruszając się długimi falami, a co wyższe kwiaty kłaniały się na wietrze.

Żadnego innego ruchu, żadnej istoty żywej. Szkoda, pomyślał, że w czasie tej ostatniej wiosny na starej planecie, nie ma tu nawet żadnych ptaków... albo chociaż motyli. No cóż, to i tak nie robi różnicy. Cała ta sielanka dookoła, nie potrwa zbyt długo.

Kiedy Kellon wędrował z powrotem, przez pogłębiający się półmrok, nagle uświadomił sobie, że na ciemniejącym niebie, widać jakiś świecący bąbel. Zatrzymał się i zaczął wpatrywać się w górę, wtedy sobie przypomniał. Oczywiście, to był księżyc starej planety... w czasie chmurnych nocy, zupełnie o nim zapomniał. Ruszył więc dalej otoczony jego słabym, niewyraźnym światłem.

Gdy wrócił już na statek i wszedł do jasno oświetlonej kabiny głównej, został gwałtownie wyrwany ze swojego zrelaksowanego nastroju. Właśnie trwała awantura pierwszej klasy i wszyscy byli albo w nią zaangażowani, albo zajęci jej komentowaniem. Lorri Lee, z miną ślicznego dziecka, skarżącego się na skaleczenie, utrzymywała, że następnego dnia powinna otrzymać czas na transmisję, dla swojego specjalnego materiału dla kobiet, a ktoś inny kwestionował jej żądanie i młody Vallely, asystent Darnowa, wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego. Kellon przeszedł między zebranymi w kabinie, nawet nie zauważony, zamknął drzwi swojej kajuty na klucz i nalał sobie długiego drinka, przeklinając w duchu Służbę i wszystko co było związane z tym przydziałem.

Zatroszczył się o to, żeby wydostać się ze statku jeszcze wczesnym rankiem, zanim burza temperamentów, ponownie rozgorzeje. Dowodzenie statkiem pozostawił Viressonowi, jako że w tej chwili nie było kompletnie nic do roboty, dla żadnego z nich, i zostawił to wszystko za sobą, daleko za barierą zielonych zboczy, zanim ktokolwiek mógł go wezwać z powrotem.

Czekało ich jeszcze jakieś pięć tygodni tego, pomyślał Kellon. Potem, dzięki Bogu, Ziemia znajdzie się zbyt blisko Słońca i będą musieli zabrać statek z powrotem na jego właściwe miejsce, w kosmos. Dopóki nie nadejdzie ten, jakże wyczekiwany dzień, miał zamiar schodzić wszystkim z oczu i trzymać się tak daleko, jak to tylko było możliwe.

Każdego dnia wędrował więc całymi milami. Uważnie trzymał się z daleka od wschodu i ruin Nowego Jorku, gdzie inni bywali tak często. On zaś wędrował na północ, na zachód, na południe, przez trawiaste, pokryte kwiatami łagodne zbocza wzgórz pustej planety. Przynajmniej dawało to spokój, nawet jeśli nie było tam zupełnie nic do zobaczenia.

Po pewnym czasie jednak, Kellon zorientował się, że było wiele rzeczy na które warto popatrzeć, jeżeli się ich poszukało. Był to na przykład sposób w jaki zmieniał się niebo, które wydawało się nigdy nie wyglądać dwa razy tak samo. Czasami miało kolor głębokiego błękitu, z białymi obłokami żeglującymi po nim jak potężne statki. A potem nagle potrafiło zrobić się szare i przygnębiające i zaczynał z niego mżyć deszcz, kończący się lancami światła słonecznego, tnącego chmury i rozbijającego je na latające wstążki. Była też chwila, kiedy będąc na wzgórzu, zobaczył z daleka potężne kotłujące się chmury frontu burzowego, zaciemniające niebo na zachodzie, zaś potem czarna burza przemaszerowała przez okolicę jak armia, pod sztandarami błyskawic i w rytm werbli grzmotów.

Wiatr i słońce, słodki smak powietrza, widok księżycowego światła, dotyk miękkiej trawy pod nogami, wszystko to wydawało mu się dziwnie właściwe i odpowiednie. Kellon wędrował po wielu planetach, pod światłem słońc o najróżniejszej barwie. Niektórych z nich, jakoś w ogóle nie polubił. Nigdy jednak nie znalazł się na planecie, która wyglądała na tak dokładnie przystosowaną do jego ciała, jak ten zniszczony, pusty glob.

Zastanawiał się mimochodem, jakby wyglądało to miejsce, gdyby były tutaj drzewa, ptaki i różnego rodzaju zwierzęta, drogi i miasta. Wypożyczył parę książek na filmach, z podręcznej biblioteczki Darnowa, oraz przywiezionych przez innych i oglądał je nocami w swojej kajucie. Naprawdę, to aż tak bardzo one go nie obchodziły, ale przynajmniej pozwalały mu trzymać się z dala od tych wszystkich sprzeczek i kłótni, a i był nimi do pewnego stopnia zainteresowany.

Od tego czasu, podczas swoich dalekich przechadzek, Kellon próbował ujrzeć to miejsce, takim, jak wyglądało dawno temu. Na niebie latałyby rudziki i drozdy, zaś żółto-czarne trzmiele, siedziały z nosami w kwiatkach. Wszędzie pełno by było drzew, których nazwy brzmiały dla niego jednakowo obco: wiązy, wierzby czy platany. Do tego małe pokryte futrem

ssaki, chmury brzęczących owadów, w stawach i strumieniach żaby oraz ryby. Cała ogromna, skomplikowana symfonia życia, która zginęła dawno temu, dawno temu poszła w zapomnienie.

Ale czy ci wszyscy ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy tutaj żyli, czy oni nie zostali zapomniani, w nie mniejszym stopniu? Borrodale i inni, opowiadali wiele w swoich audycjach, o ludziach z dawnej Ziemi, ale to były tylko pozbawione twarzy imiona i nazwiska, zupełnie nic nie oznaczające określenia. Z pewnością nikt z tych milionów, nie pomyślał nigdy o sobie, jako o fragmencie niepoliczalnej masy. Każdy z nich był dla samego siebie oraz dla wszystkich będących blisko niego lub niej, indywidualnością, osobą unikatową i niemożliwą do dokładnego powielenia. Co dawało tym złotoustym gadaczom prawo do twierdzenia, że znają te wszystkie osoby, co ktokolwiek może o nich wiedzieć?

Kellon tu i tam znajdował ich ślady, fragmenty szczątków jakichś rzeczy, które przetrwały nawet miażdżący nacisk lodu. Poskręcany kawałek stali, belki, szyny, nad którą ktoś kiedyś pracował, żeby ją wytworzyć. Kamieniołom, z ciągle widocznymi na skałach śladami po narzędziach, w którym z pewnością ludzie kiedyś trudzili się ciężko, pracując w pocie czoła. Połamane kawałki betonu, ciągnące się poszarpaną wstęgą w dal, pozostałości po drodze, po której niegdyś mężczyźni i kobiety podróżowali w sprawach miłości, ambicji, chciwości lub strachu.

Znalazł jeszcze znacznie więcej podobnych śladów, zaskoczony tym, na co udało mu się natknąć, w czysto przypadkowy sposób. Poszedł wzdłuż strumienia, spływającego bardzo wąską doliną. W pewnym miejscu przeskoczył przez niego, a kiedy wylądował i rozejrzał się dookoła, zauważył, że tam stoi dom.

Początkowo Kellonowi wydawało się, że był on cudownie zachowany w całości i nie poniszczony, chociaż z pewnością to nie mogła być prawda. Kiedy podszedł bliżej, przekonał się, że to była tylko iluzja, i że zniszczenie nadgryzło go trochę swoim zębem. A jednak, pomimo wszystko, pozostał on, w niewiarygodny sposób, możliwym do rozpoznania domem.

Był to chaotycznie zbudowany, kamienny wiejski domek, o niskich ścianach i krytym łupkiem dachu, opierający się niemal o stromą, głęboką ścianę doliny. Narożnik tylnej ściany szczytowej został zmiażdżony razem z częścią tej ściany.

Badając sposób, w jaki został on przytrzaśnięty przez ścianę, Kellon stwierdził, że przypadkowo powstały, naturalny łuk lodu, musiał go osłonić przed miażdżącym naporem, który roztrzaskał niemal wszystkie inne konstrukcje.

Okna i drzwi były jedynie pustymi otworami. Wszedł do środka i rozejrzał się po zimnych cieniach czegoś, co kiedyś było pokojem. Pozostały w nim nawet jakieś zniszczone resztki przegniłych mebli, zaś wyschnięta kupa błota, zebrana pod jedną ze ścian, zawierała jakieś nierozpoznawalne szczątki pordzewiałych metalowych śmieci, dużo więcej

jednak tam nie było. W środku było chłodno i ponuro, tak więc wyszedł na zewnątrz i usiadł w pełnym słońcu, na małym tarasie.

Przyglądał się domkowi. Musi być zbudowany nie później, niż w dwudziestym wieku, pomyślał sobie. Podczas tych setek lat przed ewakuacją Ziemi, musiała w nim mieszkać cała masa różnych ludzi.

Kellon zastanawiał się nad tym dziwnym faktem, że badania fotograficzne z powietrza, prowadzone przez Darneya w poszukiwaniu zachowanych reliktyw przeszłości, nie wykryły tego miejsca. Ale tak właściwie, to nie było takie dziwne, przecież kamienne ściany były szarawe i niepozorne, zaś sam domek głęboko skryty w troskliwych objęciach ścian doliny.

Jego spojrzenie padło na zerodowany napis, na cementowej ścianie tarasu. Podszedł do niego i oczyścił to miejsce z ziemi. Słowa były nadgryzione zębem czasu i niewyraźne, ale jakoś zdołał je odczytać.

„Ross i Jennie -- Ich Dom”

Kellon uśmiechnął się. No cóż, przynajmniej teraz już wiedział, kto tutaj kiedyś mieszkał, kto prawdopodobnie zbudował to miejsce. Niemal potrafił sobie wyobrazić dwójkę młodych ludzi, ze szczęściem wydrapujących te słowa w mokrym cemencie, tryskających energią i pragnących uwiecznić swoją radość. Ciekawe kim byli Ross i Jennie, i gdzie są teraz?

Obszedł dookoła całe to miejsce. Ku jego zaskoczeniu, z jednej strony znajdował się zaniedbany ogródek kwiatowy. Z pół tuzina różnych gatunków jaskrawych małych kwiatów, zupełnie niepodobnych do tych dzikich odmian, porastających zbocza, rosnących tam w bezładnych kępach. Nasiona w starym ogrodzie, były już gotowe do kiełkowania, kiedy na Ziemię spadła długa zima, i zasnęły w stanie zawieszanej vegetacji, aż do chwili kiedy stopniały lody i w końcu nadszedł ciepły czas kwitnienia. Nie wiedział, jakiego rodzaju kwiaty tutaj rosły, ale była w nich jakaś odważna beztroska, która mu się spodobała.

Wyruszając w drogę powrotną, przez zielone wzgórza, w delikatnym zmroku, Kellon pomyślał, że powinien powiedzieć o tym miejscu Darnowowi. Ale jeżeli to zrobi, to całe rozpaplane towarzystwo ze statku, z pewnością przybiegnie tutaj galopem. Wyobrażał już sobie uroczyste, słodkie i drogocenne audycje Borrodale’a, tej kobiety, Lee, i całej ich reszty, nadawane ze sceny starego domu.

„Nie” pomyślał sobie. „Do diabła z nimi.”

Nie chodziło mu o jego osobiste odczucia odnośnie starego domu. Chodziło tylko o to, czym on był, czym był, ostoją spokoju, która odnalazł i nie chciał wyciągać jej na żer tej hałaśliwej hordy, przed którą próbował uciec.

W kolejnych dniach, Kellon był zadowolony z tego, że nic nie powiedział. Dom dawał mu jakieś miejsce, do którego mógł sobie pójść, wokół którego mógł sobie poszperać, które mógł zbadać, jakiś punkt

skupienia dla jego zainteresowań, w tym czasie oczekiwania. Spędzał tam całe godziny i nigdy nikomu nic nie powiedział.

Haller, biolog, pożyczył mu książkę o kwiatach Ziemi. Zabrał ją ze sobą i wykorzystał do rozpoznania roślin które rosły w zaniedbanym ogródku. Werbeny, goździki, powoje i krzykliwe, czerwone lub żółte, nazywane nasturcjami. Wiele z nich, jak wyczytał, nie przyjmowało się dobrze na innych planetach i nigdy nie udało ich się udanie przenieść. Jeżeli to była prawda, to będzie ich ostatnie kwitnienie, w ogóle gdziekolwiek.

Szperał trochę po wnętrzu domu, próbując wyobrazić sobie, jak mieszkali w nim ludzie. Było on dziwny, zupełnie niepodobny do nowoczesnego domu ze stopów metali. Nawet ściany wewnętrzne były grube nie do pomyślenia, a okna wydawały się małe i sprawiały więzienne wrażenie. Największy pokój był miejscem, gdzie w oczywisty sposób, spędzali najwięcej czasu, a jego otwory okienne, wyglądały na mały ogród, zieloną dolinę i płynący w pobliżu strumień.

Kellon zastanawiał się, jacy oni byli, ten Ross i Jennie, którzy kiedyś osiedli tutaj razem i wyglądali przez te okna. Jakie sprawy były dla nich istotne? Co ich bolało, a co śmieszyło? On sam nigdy się nie ożenił, latający w dalekim kosmosie kapitanowie Służby Badawczej, rzadko to robili. Zastanawiał się jednak nad tym małżeństwem z dawnych lat i o tym co po nim zostało. Czy mieli dzieci, czy ich krew ciągle płynie w żyłach ludzi z dalekich planet? Ale nawet jeżeli tak było, to jak wygląda ta teraźniejszość, dla potomków tych dwojga ludzi z odległej przeszłości?

Na końcu starej książki, którą pożyczył mu Haller, znalazł wiersz o kwiatach, zapamiętał sobie jego fragment¹:

*Wszyscy są teraz jednym, kochankowie i róże,
nie znają ich wiatry, ni pola, ni morza.
Nawet oddech czasu, który minął nie zwisa
w powietrzu miękkim od lata.*

No cóż, tak, pomyślał Kellon. Oni wszyscy teraz byli już jednym, ci wszyscy Rossowie i Jennie, rzeczy które robili, sprawy o których myśleli, wszystko jest teraz jednym, w pyle tej starej planety, której ogniste ostatnie lato miało nastać już szybko, bardzo szybko. Z fizycznego punktu widzenia wszystko co kiedykolwiek zostało zrobione, wszyscy którzy kiedykolwiek żyli na Ziemi, ciągle trwali tutaj, w jej atomach, poza niewielką częścią jej materii, która pomknęła na inne planety.

Rozmyślał o hasłach, które nadal były takie sławne, na wszystkich planetach galaktyki, nazwiskach mężczyzn i kobiet, nazwach miejsc. Szekspir, Platon, Beethoven, Blake, dawny splendor Babilonu, serce

¹ Hamilton wykorzystuje tu fragment „Porzuconego ogrodu” („Forsaken garden”) Swinburne’a. Moje tłumaczenie jest tu ehem... orientacyjne. Nie siliłem się na przekład wierszem – znam swoje ograniczenia. Dla chętnych oryginalny fragment:

All are at one now, roses and lovers,
not known of the winds and the fields and the sea.
Not a breath of the time that has been hovers
in the air now soft with a summer to be.

Angkor, czy też skromne domy jego własnych przodków, wszystko to było tutaj, wszystko nadal było tutaj.

Kellon potrząsnął sobą w myślach. Jego problem polegał na tym, że miał za mało do roboty, tak więc siedział tutaj, rozmyślając o cieniach przeszłości. Widział już wszystko, co można było znaleźć w tym dziwnym, małym, starym miejscu i nie było sensu do niego wracać.

Ale jednak wracał. To nie o to chodziło, jak sobie wmawiał, że czuje jakieś sentymentalne, antykwaryczne zainteresowanie tym starym miejscem. Słyszał już wystarczająco wiele tego rodzaju popisów, od tych wszystkich błyskotliwych sztucznych mędrców na statku. Był człowiekiem ze Służby, i wszystko czego pragnął, to wrócić do swojej roboty, ale dopóki musiał siedzieć tutaj, lepiej było wędrować sobie po zielonych polach, albo szperać wokół tego starego reliktu przeszłości, niż wysłuchiwać niekończącego się paplania i kłótni pozostałych.

Oni zaś kłócili się coraz bardziej, ponieważ byli już zmęczeni tym wszystkim co się tutaj działo. Kiedyś wydawało się im, że to taka wspaniała rzecz, pozować dumnie na galaktycznej scenie, pomagając opisywać koniec Ziemi. Czas jednak mijał nieubłaganie i noszone przez nich rumieńce sztucznego entuzjazmu, robiły się coraz bledsze. Nie mogli stąd odlecieć, ekspedycja musiała przeprowadzić transmisję z finalnej kulminacyjnej sceny końca życia planety, ale do niego nadal były jeszcze całe tygodnie. Darrow i jego uczeni oraz naukowcy, zajęci wyprawami do i z rozmaitych starych siedzib, mogliby zostać tutaj przez wieczność, ale pozostali byli już szczerze znudzeni.

Kellon jednak znalazł w sobie wystarczająco dużo zainteresowania dla starego domu, aby oczekiwanie nie było dla niego czymś za bardzo uciążliwym. Obecnie całkiem sporo czytał o sposobie organizacji różnych spraw w dawnych latach i przesiadywał długimi godzinami na małym tarasie, na popołudniowym słoneczku, próbując wyobrazić sobie, jak tu wyglądało, kiedy mieszkali tutaj pewien mężczyzna i pewna kobieta, o imionach Ross i Jennie.

Jakie dziwne, jakie uregulowane, wydawało się to dawne życie, patrząc z perspektywy dnia dzisiejszego! Czytał, że większość ludzi w tamtych czasach miała samochody naziemne, i jeździła nimi do miasta, w którym pracowali, i z powrotem. Czy robili to zarówno mężczyźni jak i kobiety, czy tylko mężczyźni? Czy kobiety zostawały w domu, być może razem z dziećmi, jeżeli takie miały, zaś popołudniami robiły coś w małym ogródku kwiatowym, w którym nadal kwitło paru jaskrawych, zaniedbanych ocaleńców? Czy kiedykolwiek im się śniło, że dalekiej przyszłości, gdy oni sami będą już od dawna martwi, ich dom będzie stał w pustce i w ciszy, a jedynym jego gościem będzie obcy przybysz z daleko położonych gwiazd? Przypomniawszy sobie wers z jednej ze starych sztuk, które czytali Muzycy Arktura: „Przybądźcie jak cienie, odejdźcie jak cienie.”¹

¹ William Szekspir, Makbet, akt IV, scena 1, tłum. Maciej Słomczyński.

Nie, pomyślał Kellon, Ross i Jennie dzisiaj może byli cieniami, ale przecież nie byli nimi wtedy. Dla nich i dla tych wszystkich ludzi z tamtych czasów, których widział oczyma wyobraźni, jak pracowicie krzątają się po całej Ziemi, to właśnie on, przyszłość i ludzie którzy dopiero nadejdą, byli cieniami. Kiedy tak siadywał tutaj w samotności i próbował wyobrazić sobie tę odległą przeszłość, Kellona nachodziło czasami niesamowite uczucie, że jego tak sugestywne i żywe wizje ludzi, zatłoczonych miast, wszechobecnego ruchu i śmiechu, były rzeczywistością, podczas gdy on sam był jedynie obserwującą to wszystko zjawą.

Lato nadeszło szybko, gorące i coraz gorętsze. Teraz białe słońce wisało na niebie większe niż kiedykolwiek i zalewało Ziemię taką ilością światła i ciepła, jakiej nie otrzymywała ona nigdy, przez całe milenia. A zielone życie roślinne wszędzie zdawało się odpowiadać na to bujną powodzią ostatniego wzrostu, radosną afirmacją, którą Kellon odebrał jako niesamowicie poruszającą. Obecnie nawet noce zrobiły się ciepłe, wiatry powiewały rozkosznie delikatnie, zaś na odległych plażach ocean wyskakiwał w górę w rozbryzgach wody i grzmotach, pędzących fal wielkich przyływów słonecznych.

Kellon nagle uświadomił sobie ze wstrząsem, tak jakby obudził się z jakiegoś głębokiego snu, że pozostało już tylko kilka dni. Spirala zacieśniała się coraz szybciej i już wkrótce temperatura podniesie się do wartości niemożliwych do zniesienia.

Powinien, jak sobie powiedział, być zadowolony z tego odlotu. Pozostanie już tylko oczekiwanie w kosmosie, do czasu kiedy to wszystko się skończy. Potem będzie mógł wrócić do swojej roboty, do swojego własnego życia, i przestać zawracać sobie głowę cieniami, tylko dlatego, że nie ma nic innego do roboty.

Tak. Powinien się z tego cieszyć.

Kiedy zostało już tylko kilka dni, Kellon powędrował ponownie do starego domu i zaczął nad nim dumać, usłyszał za sobą głos.

– Doskonały – powiedział głos Borrodale’a. – Doskonały relikwiarz przeszłości.

Kellon odwrócił się do niego, czując się jakoś wystraszony i zbity z tropu. Oczy Borrodale’a, przyglądającego się uważnie domowi, płonęły zainteresowaniem. Ponownie zwrócił się do Kellona.

– Właśnie wybrałem się na spacer, kiedy pana zobaczyłem, panie kapitanie. Pomyślałem więc, że pójdę za panem. Czy to tutaj tak często pan przychodzi?

Kellon, czując się lekko winny, odpowiedział wymijająco.

– Byłem tutaj parę razy.

– Ale dlaczego, na Boga, nie powiedział pan nam o tym miejscu? – zawołał Borrodale. – Przecież możemy zrobić stąd wspaniałą audycję finałową. Typowy starożytny ziemski dom. Roy może przywieźć tutaj paru Muzyków, w historycznych kostiumach, i pokażemy ich, jak żyją tutaj tak jak kiedyś żyli ludzie...

Niespodziewanie dla niego samego, w Kellonie wezbrała gwałtowna odraza. Szorstko oznajmił:

– Nie.

Brwi Borrodale’a wgięły się w łuk.

– Nie? Ale, dlaczego?

Rzeczywiście, dlaczego nie? Jaką mu to w końcu sprawi różnicę, jeżeli po tym starym domu wszędzie zaczną kręcić się ludzie, wyśmiewając się z jego starożytnego charakteru, tak nieodpowiedniego dla dzisiejszych czasów, pozując przed nim do aparatów fotograficznych, z uśmiechami na twarzach, paradując wokół w staromodnych kostiumach i robiąc z tego wielkie show. Jakie to ma dla niego znaczenie, dla człowieka, który kompletnie nie dbał o tę zapomnianą planetę i wszystko co się na niej znajdowało?

A jednak coś się w nim zaczęło buntować, na myśl co oni tutaj mogliby zrobić, i powiedział:

– W tej chwili możemy być już w każdej chwili zmuszeni do bardzo szybkiego startu. Gdybyście państwo wszyscy znaleźli się w tak dużej odległości od statku, mogłoby to spowodować niebezpieczne opóźnienie.

– Ale przecież pan sam powiedział, że nie wystartujemy jeszcze przez parę dni! – zawołał Borrodale. I dodał twardo. – Nie wiem, dlaczego próbuje pan nam stawiać przeszkody, panie Kapitanie, ale mogę odwołać się wyżej, do pańskich zwierzchników.

Odszedł, zaś Kellon pomyślał nieszczęśliwie, że Borrodale pójdzie prosto nadajnika i wyśle wiadomość do kwatery głównej Służby Badawczej, a oni dopiero dadzą mu popalić. A w każdym razie, po kiego diabła, w ogóle to robi? Musi zmieniać się chyba w szczura lądowego i wielbiciela planet.

Podszedł i usiadł na tarasie, wpatrując się w okolicę, aż do czasu gdy zachód słońca przeszedł w głębszy zmrok. Wszedł Księżyc, biały i bardzo jasny, ale powietrze dzisiejszego wieczora nie było spokojne. Zaczął wiać gorący, suchy wiatr i ruch wysmukłych traw, powodował że zbocza wzgórz i równiny, robiły wrażenie niemal żywych. Wydawało mu się, jakby w powietrzu i ziemi, pojawiło się dziwne pulsowanie, jak gdyby Słońce wzywało swoje dzieci do domu, a Ziemia wysilała się, aby mu odpowiedzieć. Dom śnił w srebrzystym świetle, zaś kwiaty w ogrodzie szeleściły.

Wrócił Borrodale, ciemna, przysadzista postać w świetle księżyca. Oznajmił tryumfalnie:

– Skontaktowałem się z pańską kwaterą główną. Otrzymał pan rozkazy pełnej współpracy. Chciałbym przeprowadzić pierwszą transmisję stąd, jutro.

Kellon wstał.

– Nie.

– Nie może pan zignorować rozkazów...

– Jutro nas już tutaj nie będzie – oświadczył Kellon. – To ja decyduję o tym, kiedy zabrać ten statek z Ziemi, we właściwym czasie ze względów bezpieczeństwa. Startujemy jutro rano.

Borrodale milczał przez chwilę, a kiedy potem się odezwał, jego głos był wyraźnie zaintrygowany.

– To oczywiste, że przyśpiesza pan sprawy jedynie po to, żeby zablokować naszą transmisję. Nie mogę tylko zrozumieć powodów pańskiego nastawienia.

No cóż, pomyślał sobie Kellon, on sam nie mógł sobie zrozumieć, a więc jak mógłby wyjaśnić to komuś innemu? Nic więc nie odpowiedział, a Borrodale popatrzył na niego, a potem na stary dom.

– A jednak, być może rozumiem – powiedział po chwili z zamyśleniem Borrodale. – Przychodził pan tutaj bardzo często, zupełnie sam. Czasami człowiek może za bardzo zaprzyjaźnić się z duchami.

Kellon odparł szorstko:

– Proszę nie opowiadać nonsensów. Lepiej będzie jeśli wrócimy już na statek. Jest mnóstwo do zrobienia przed jutrzejszym odlotem.

Kiedy ruszyli w drogę powrotną i wyszli z zalanej księżycowym światłem doliny, Borrodale nic nie mówił. Obejrzał się raz do tyłu, ale Kellon nie patrzył za siebie.

Statek wystartował w dwanaście godzin później, ponurym i złowieszczym porankiem, pełnym szybko pędzących chmur. Kellon poczuł ogromną ulgę, kiedy wyszli poza atmosferę i znaleźli się ponownie niezgłębionej gwiazdzistej ciemności. Tutaj, w przestrzeni, wiedział gdzie jest. To było miejsce do którego należeli wszyscy ludzie kosmosu. Mógł za to dostać później ostrą reprimendę, ale wcale mu nie było żal.

Umieścił statek na wyznaczonej orbicie, i czekał. Musiały jeszcze minąć dni, wiele dni, zanim nadejdzie koniec Ziemi. Do chwili obecnej planeta wydawała się już być bardzo blisko białego słońca, a Księżyc odsunął się od niej, wchodząc na nową silnie zaburzoną orbitę. Pomimo tego, musi jednak upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim będą mogli pokazać oczekującej galaktyce, koniec jej ojczystego globu.

Przez większą część tego czasu, Kellon pozostawał w swojej kajucie. Wodotryski, które szły przez nadajnik teraz, kiedy zbliżał się wielki finał, wywoływały u niego mdłości. Chciał, żeby ta cała sprawa nareszcie się skończyła. Zaczynało się to robić, jak sobie mówił, przeraźliwie nudne.

W końcu pozostała już tylko godzina i dwadzieścia minut do czasu E, i przypuszczał, że będzie musiał pójść na górę, na mostek, aby to wszystko obserwować. Została tam już zamontowana przenośna kamera, wokół której tłoczyli się Borrodale i wielu innych. Borrodale miał prowadzić transmisję z ostatniej godziny, co zdawało się oburzać innych.

– Dlaczego to ty musisz mieć całą ostatnią godzinę? – wyrzucała gorzko Borrodale'owi Lorri Lee. – To nie fair...

Gniewnie wtórował jej Quayle.

– To będzie największa widownia w historii, i wszyscy powinniśmy mieć szansę do niej przemówić.

Borrodale coś im odpowiedział i głosy zaczęły się coraz bardziej unosić oraz nabrzmiewać gniewem. Kellon widział, że technicy obsługujący transmisję, wyglądają na zatroskanych. Poza nimi wszystkimi, w oknie z filtrem, widać było czarną kropkę planety, zbliżającą się do białej tarczy gwiazdy. Słońce przywoływało ją, a Ziemia, jak się wydawało, z rosnącym zapalem poruszała się po ostatnich krokach swojej długiej drogi. Hałaśliwe, kłótniwe głosy, brzęczące w uszach Kellona, nagle wzbudziły w nim wściekłość.

– Słuchajcie, panowie – powiedział do ludzi obsługujących transmisję.
– Wyłączyć wszystkie przekazy dźwiękowe. Możecie utrzymać obraz, ale bez dźwięku.

To wstrząsnęło nimi wszystkimi tak bardzo, że aż zapadła cisza. W końcu, jako pierwsza zaprotestowała pani Lee.

– Kapitanie Kellon, nie może pan!

– W kosmosie dowodzenie spoczywa wyłącznie na mnie, a więc mogę to zrobić i zrobię – odparł.

– Ale audycja, komentarz...

Kellon oznajmił ze zmęczeniem:

– Och, na rany Chrystusa, zamknijcie się w końcu i pozwólcie tej planecie umrzeć w spokoju.

Odwrocił się do nich tyłem. Nie słyszał ich obrażonych głosów, nie słyszał nawet kiedy zapadła cisza i wszyscy zaczęli wpatrywać się w okno z filtrem, podobnie jak przypatrywały się kamera oraz cała galaktyka.

A co tam było do oglądania, poza ciemną kropką, niemal zanurzoną w jaśniejących kurtynach Słońca? Pomyślał sobie, że kamienie starego domu, musiały już zacząć parować. Teraz już zasłony ognia i światła, niemal całkowicie skryły już małą planetę, w miarę jak gwiazda zabierała co swoje.

Wszystkie atomy starej Ziemi, rozmyślał dalej Kellon, w tym momencie buchnęły na wolność, aby zmieszać z istotą Słońca, wszystko to, co tworzyło Rossa i Jennie, wszystko to co tworzyło Szekspira i Szuberta, żywe kwiaty, pędzące strumienie, oceany, skały i wiatry w powietrzu, oddało się dającej im życie jasności.

Obserwowali ten spektakl w ciszy, aż do chwili, kiedy nie było już nic do oglądania. Kompletnie nic. Również w ciszy, kamera została wyłączona.

Kellon wydał rozkaz i wkrótce statek opuścił zajmowaną orbitę, rozpoczynając długą podróż do domu. Do tego czasu, tamci już się rozeszli, wszyscy poza Borrodale'm. Powiedział do Borrodale'a, nie odwracając się do niego:

– Teraz może pan pójść i wysłać swoją skargę do kwatery głównej.

Borrodale pokręcił przecząco głową.

– Cisza może być najlepszym możliwym requiem. Nie będzie żadnych skarg. Teraz jestem naprawdę zadowolony, panie kapitanie.

- Zadowolony?
- Tak – wyjaśnił Borrodale. – Jestem zadowolony, że Ziemia w końcu miała chociaż jedną osobę, która ją szczerze opłakiwała.

KONIEC